

Edmund Wnuk-Lipiński



Świat nauki, świat polityki

Mniej więcej od czasu *Zdrady klerków*, książki Juliana Bendy z 1927 roku, na porządku dziennym stała kwestia relacji pomiędzy władzą a wiedzą, pomiędzy światem polityki a światem akademii. Problem ten był obecny i wcześniej, zapewne od zarania życia społecznego człowieka, bowiem władcy zawsze chcieli wiedzieć więcej niż poddani. W okresie przednaukowym magowie, wróże i szamani należeli do standardowego wyposażenia dworu władcy, a ich wyrocznie decydowały niekiedy o biegu historii. Jednak dopiero rozwój wiedzy w naukach społecznych sprawił, że mogła być ona użyteczna w egzekwowaniu skuteczniejszego panowania, a zatem przestała być indywidualną fanaberią określonego władcy, lecz stała się raczej elementem technologii nowoczesnego sposobu sprawowania władzy.

W Polsce schyłku komunizmu, czyli mniej więcej od roku 1980 i powstania Solidarności sytuacja była szczególna. Kraj, w masowym porywie, dźwigał się ze zniewolenia i choć wynik nie był przesądzony, trudno było pozostać obojętnym na to, co dzieje się w życiu publicznym. Również ludzie akademii, raczej jako obywatele niż specjaliści w swoich dziedzinach, musieli na nowo zdefiniować siebie wobec zmian, które ogarnęły całe społeczeństwo. Z grubsza, przynajmniej w humanistyce i naukach społecznych, większość akademii dała się porwać nowemu ruchowi społecznemu i na różne sposoby, używając także swojej zawodowej wiedzy, wspierała jego działania. Jednak większość nie oznaczała całości; pewna część tego środowiska opowiedziała się po stronie *ancien régime'u*. Dałoby się zapewne obliczyć statystycznie istotną korelację pomiędzy stanowiskiem zajmowanym w ówczesnej strukturze nauki a sposobem definiowania siebie wobec Solidarności i perspektyw, które jej powstanie otworzyło: im wyższa formalna pozycja, tym większe prawdopodobieństwo opowiedzenia się po stronie *status quo* i definiowania masowego ruchu nie tyle w kategoriach szansy, co raczej – zagrożenia. Od tej tendencji były oczywiście znaczą-

ce wyjątki, ale nie były one bardzo liczne. Dlatego też, w nieco żartobliwej formie, zaangażowanie po stronie Solidarności nazywano „rewolucją adiunktów”.

Redefinicje siebie i dokonywane w ich następstwie wybory w owym szczególnym okresie nie wynikały przecież z jakiegoś wtajemniczenia w uniwersalne mechanizmy społeczne czy racjonalnej kalkulacji, na którą pozwalałyby zasób profesjonalnej wiedzy. Nikt nie był w stanie przewidzieć finału, czyli upadku systemu. Jeśli już o jakichś kalkulacjach mowa, to zdecydowanie bardziej prawdopodobny był raczej powrót komunistycznej „normalizacji”, wymuszonej siłą i represjami. Zatem wybory i redefinicja postaw wynikały raczej z przesłanek etycznych (zresztą socjologowie zauważyli to zjawisko i nawet określili je mianem „etycznego społeczeństwa obywatelskiego”), a nie z wiedzy zawodowej.

Sytuacja taka była możliwa jedynie przez niezbyt długi czas, a ściślej – tak długo, jak długo owa wspólnota aksjologiczna definiowana była w kategoriach bardzo ogólnych wartości. Przykładem takiego stosunkowo krótkotrwałego instytucjonalnego zaangażowania może być praca grupy socjologów dla reprezentacji Solidarności, która znalazła się w Sejmie kontraktowym po wyborach z 4 czerwca 1989 roku. Kierownictwo Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego zwróciło się do mnie z propozycją zorganizowania zespołu ekspertów socjologii, którzy pomagać będą swoją zawodową wiedzą Klubowi i rządowi Tadeusza Mazowieckiego w trudnym okresie przełomowych reform. Wyraziłem zgodę i zaprosiłem do Zespołu następujące koleżanki i kolegów: Lenę Kolarską-Bobińską, Jadwigę Koralewicz, Janusza Grzelaka, Andrzeja Rycharda, Jacka Kurczewskiego i Antoniego Sułka. Pracowaliśmy blisko rok i choć nie wiem do końca, czy nasze opracowania wywarły realny wpływ na bieg spraw, z pewnością nie uznałbym tego czasu za zmarnowany. Zespół rozwiązał się w momencie, kiedy z Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego zaczęły wyłaniać się załączki partii i stronnictw politycznych, czyli kiedy liderzy Solidarności przeszli z fazy etycznej w fazę realnej polityki i walki o władzę.

Realna polityka i nauka to dziedziny, które charakteryzują się odmiennymi logikami działania; nauka w zasadzie dąży do odkrywania prawdy, tymczasem polityka jest w istocie dążeniem do realizacji celów. Bywa, że te dwie logiki działania wspierają się nawzajem (np. kiedy wiedza służy do bardziej racjonalnego osiągania celów praktycznych), ale bywa, że znajdują się w konflikcie. Zdarza się tak wtedy, gdy cele praktyczne, do których wykorzystywana jest wiedza uczonego są w konflikcie z jego indywidualnym systemem wartości. Wszyscy pamiętamy rozterki fizyków atomowych, którzy pod koniec II wojny światowej pracowali w ramach projektu „Manhattan” i wyprodukowali bombę jądrową, która wprawdzie zakończyła dzia-

łania wojenne na Pacyfiku, ale za cenę setek tysięcy ludzkich istnień w Hiroszimie i Nagasaki.

Relacja akademii z realną polityką rodzi przynajmniej trzy paradoksalne konsekwencje. Jeśli uczony używa swej wiedzy politykowi, nie oglądając się na cele polityki, do których osiągnięcia jego wiedza ma być wykorzystana, staje się cynikiem lub „partyjnym naukowcem”. Jeśli jednak uczony wpływa na ustalanie celów publicznych, wychodzi z roli uczonego i staje się politykiem. Jeśli zaś programowo odcina się od życia politycznego – staje się klerkiem.

Nawet w systemie demokratycznym (nie wspominając już o dyktaturze) „partyjny naukowiec” – jak sądzę – sprzeniewierza się akademickiemu powołaniu na dwa sposoby: po pierwsze, abdykuje z wolności myślenia; logika ciekawości poznawczej jest wypierana przez logikę gry o władzę, co nakłada na uczonego ograniczenia w postaci: lojalności partyjnej, („nie zaszkodzić swojej partii w walce politycznej”) oraz zawężenia perspektywy i zachwiania proporcji percepcji poprzez wyolbrzymianie faktów i argumentów korzystnych partyjnie i minimalizowanie niekorzystnych. Po drugie, społeczny prestiż uczonego bywa wykorzystywany do wywierania wpływu politycznego (profesor medycyny czy fizyki nie musi być lepszym politykiem niż człowiek z wykształceniem zasadniczym zawodowym). Preferencje polityczne bowiem nie wynikają z faktów naukowo potwierdzanych, lecz z systemu wartości jednostki i celów działania, które sobie ustala.

Polityka dotyczy coraz bardziej skomplikowanych kwestii: w demokracji głos profesora liczy się tak samo jak głos obywatela o bardzo niskich kompetencjach poznawczych; odejście od tej zasady narusza sam rdzeń demokracji (obywatela zastępuje ekspert), poleganie jedynie na niej wpędza demokrację w populizm (bo ludzi wykształconych jest mniej niż niewykształconych). Dlatego większość z nas w formowaniu postaw wobec określonego zjawiska korzysta z autorytetów, które spełniają funkcje punktów odniesienia. Jednak autorytet w nauce jest gatunkowo inny niż autorytet w polityce. Nauka – ze swej istoty – jest niedemokratyczna; rewolucje naukowe wprowadzane były przez wybitne jednostki, których osiągnięcia wytrzymały próbę weryfikacji, a nie przez konserwatywny na ogół *vox populi* środowiska akademickiego. Tymczasem autorytet w polityce wyrasta z umiejętności przekonania do siebie i swoich racji dostatecznie dużej części obywateli; autorytet ten nie wyrasta z prawdy w sensie naukowym, lecz z przekonania, podzielanego przez zwolenników i budowanego często nie na fundamencie faktów, lecz emocji. Mieszanie tych dwóch źródeł autorytetu wydaje się nadużyciem, a przecież w praktyce życia politycznego naszego kraju zdarza się nagminnie.

Powstaje więc pytanie, czy da się ustalić jakąś granicę między rolą naukowego eksperta a stanowiskiem zaangażowanego politycznie naukowca?

Sądzę, że kluczową kwestią jest poziom ogólności celów, do których dąży polityk z pomocą ekspertalnej wiedzy uczonego. W tym kontekście warto przywołać kategorię „dobra wspólnego”, której wspieranie nie wikła uczonego w gry polityczne i nie ogranicza go w głoszeniu sądów uzasadnionych naukowo. Przekroczeniem tej granicy byłoby opowiedzenie się po stronie dobra partykularnego (np. interesu partyjnego), bowiem byłoby to sytuowanie się po jednej ze stron konfliktu politycznego, charakterystycznego dla ładu demokratycznego i pluralistycznego życia publicznego. Nie jest to precyzyjna norma, trzeba przyznać, ale bardziej dokładne wytyczenie linii demarkacyjnej jest chyba niemożliwe.

Część uczonych wchodzi w realną politykę. Nie jest to nic szczególnego, bowiem ludzie akademii, podobnie jak reszta społeczeństwa, są też obywatelami wyposażonymi w czynne i bierne prawo wyborcze. Kiedy jednak uczeni stają się politykami, to porzucają społeczną rolę uczonego. Tytuły i stopnie naukowe do roli politycznej nie mają zastosowania, bowiem nie za działania polityczne zostały nadane, lecz za badania naukowe, weryfikowane przez środowisko uczonych. Dlatego – to kolejny postulat – życie polityczne byłoby zdrowsze, gdyby stopnie i tytuły naukowe nie były wykorzystywane w roli politycznej, lecz jedynie ściśle naukowej. Tymczasem w rozmaitych kampaniach politycznych przenoszenie autorytetu z dziedziny jakiejś – niekiedy bardzo wąskiej – specjalności naukowej w obszar polityki jest notorycznie stosowane przez sztaby partyjne.

Za szczególnie szkodliwe dla nauki uważam wykorzystywanie jej autorytetu do bieżącej walki politycznej pomiędzy różnymi ugrupowaniami. Tutaj trzeba odnotować gorszące wydarzenia związane z działalnością ekspertów z cenzusem naukowym pracujących dla tak zwanego Sejmowego Zespołu Macierewicza, z których nie wszyscy działają zgodnie ze standardami metodologicznymi obowiązującymi w nauce, lecz – jak wynika z doniesień medialnych – pracują na ukrytych założeniach, manipulują modelami, aby uzyskać założony wynik, a niekiedy popełniają elementarne błędy odczytu zdjęć satelitarnych, czy po prostu rozmyślnie mijają się z prawdą. Wprawdzie środowisko akademickie zareagowało na te szkodliwe praktyki, ale w mojej ocenie reakcja ta była niewspółmiernie delikatna w stosunku do uszczerbku, jakiego na skutek tych działań doznał autorytet polskiej nauki. W odbiorze społecznym bowiem powstało wrażenie, że także w nauce nie ma wyraźnych kryteriów odróżniających prawdę od fałszu, a każdą, nawet najbardziej fantastyczną teorię da się zbudować, bo znajdują się „partyjni naukowcy”, którzy swoim autorytetem i poparciem zapewnią jej przynajmniej częściową społeczną akceptację, a partii, która jest nośnikiem tej teorii – przysporzą zwolenników.

Granica pomiędzy światem nauki i światem polityki jest płynna. Jej przekraczanie zdarzało się w przeszłości, zdarza się dzisiaj i zapewne nie inaczej będzie w przyszłości. A jednak jest to ważna granica, bowiem jej zatarcie oznaczałoby koniec nauki, rozumianej jako zestaw skodyfikowanych metod pozwalających mozolnie odkrywać prawdę o świecie i nas samych. Granica ta nie może być broniona jedynie poprzez uregulowania prawne, lecz także (a może przede wszystkim) przez etos akademii, przekazywany uczniom przez mistrzów i odnawiany z pokolenia na pokolenie.